

ks. Robert Szewczyk

PWTW

**DOŚWIADCZENIA KAPELANA HOSPICJUM DLA DZIECI.
OBSZARY ZAANGAŻOWANIA DUSZPASTERSKIEGO KAPELANA
W RODZINIE DZIECKA TERMINALNIE CHOREGO**

Trudno jest przedstawić doświadczenia kapelana hospicjum, opisując poszczególne spotkania i rozmowy z chorymi dziećmi, czy też z ich rodzinami. Przeżycia wielu osób wydają się bowiem w wielu wypadkach zbyt świeże i bolesne, a rozmowy niedokończone. Niektóre zaś szczegóły, z oczywistych względów, nigdy nie będą mogły być ujawnione.

Ukazanie pełniejszego obrazu możliwości duszpasterskiego zaangażowania kapelana hospicjum, czy też inaczej rzecz ujmując, potrzeb duszpasterskich rodziny dziecka terminalnie chorego, bez odniesienia do pewnych istotnych szczegółów, wydaje się z kolei zbyt ogólne i oczywiste. W zasadzie można by powtórzyć to, co kapelan intuicyjnie mógł przewidzieć już na początku swojej pracy¹. Mianowicie, że:

- większość wyniesionych doświadczeń ze spotkań z dziećmi terminalnie chorymi i ich rodzinami będzie wciąż wiązała się bardziej z zadawaniem pytań, niż uzyskiwaniem jasnych odpowiedzi,
- będzie mu dane zetknąć się przede wszystkim z lękiem przed niepewnością jutra, spowodowanym narastającą świadomością, że najlepsze, typowe plany i marzenia rodziców w stosunku do dziecka

¹ Por. wywiad w programie „Jesteśmy” TV Polsat z dnia 9.02.2008 r.; <http://www.hospicjum.waw.pl/code/glowna.php?ID1=9&ID2=4&ID3=0&idf=19>

prawdopodobnie z powodu choroby nigdy nie będą mogły być spełnione. Ten lęk zaś prawie zawsze powoduje ogromne emocje, które wiążą się z utratą nadziei, złudzeniami, wątpliwościami, pretensjami do Boga i do ludzi. Trzeba będzie się uczyć razem z nimi je przewartościować. A przecież nie da się tego dokonać słowami ani nawet samą obecnością,

- będzie mu też dane uczyć się wraz z rodzinami na nowo wartości, jaką jest życie przepełnione miłością. W tym kontekście każda chwila, każdy gest, każdy oddech, zwłaszcza, gdy trzeba o nie walczyć przy pomocy aparatury i środków medycznych, nabierają szczególnego znaczenia. Trzeba też zrozumieć, że to „uczenie się” stanowi wyzwanie dla każdego. Nie będzie tu ani doświadczonych, ani doskonałych. Trzeba być prawdziwym (ojcem, matką, doktorem, kapłanem...), aby otwierać się na przeżycia drugich i nie bać się, mimo własnej słabości, ofiarować im swoją obecność,
- owo uczenie się życia na nowo, czy też odnajdywanie i pogłębianie własnej tożsamości nie może się odbyć bez odniesienia do Tego, który rzeczywiście, realnie jest Osobą, a ponadto, w Jezusie Chrystusie, drogą i prawdą, i życiem (J 14, 6). Trzeba więc będzie kapłanowi odwoływać się do wiary swojej oraz tych, do których został posłany. Dane mu też będzie rozpoznać, jak bardzo Bóg szuka i wspiera tych, którzy są doświadczeni cierpieniem. Wielokrotnie ich wiara w Osobowego Boga okaże się nieporównywalnie większa od jego własnej, bez względu na to, na ile oni sami uświadamiają to sobie i na ile są na co dzień praktykujący. Oni bowiem, bardziej niż ktokolwiek, zdają sobie sprawę, że nie rzeczy, ale osobowe relacje są najistotniejsze wobec terminalnej choroby dziecka,
- kapłan zatem będzie mógł im pomóc odnaleźć źródło umocnienia. Potrzebna, więc będzie jego obecność. W tej obecności nie tyle słowa będą najważniejsze, bardziej jego wiara, otwartość i cierpliwość, a nade wszystko wspólna modlitwa i sprawowane przez niego sakramenty. One bowiem są źródłem umocnienia i łaski. Miejscem prawdziwego spotkania człowieka z Bogiem, z Jezusem Chrystusem,

- z całą pewnością będzie mu też dane rozmawiać, dotykać problemu choroby i śmierci. Jednak bardziej będzie wezwany do tego, by poszukiwać drogi życia do końca, do samego progu przejścia do wieczności i poza ten próg,
- będzie pytany wreszcie, jak odnaleźć nadzieję po śmierci dziecka. Wówczas na nowo przeważają emocje, zwłaszcza lęk. Brak jest pewności, poczucia obecności, następuje ogromna samotność, tęsknota, czasami poczucie winy. Jak obronić się przed rozpaczą, która może przygnieść całkowicie? Jak pozostać wśród żywych, mimo, iż część duszy jest już w innym świecie, razem z umiłowanym dzieckiem?

Takie zestawienie, choć z całą pewnością w pewnym sensie kompletne, trudno uznać za satysfakcjonujące. Brakuje tu pewnego klucza, dzięki któremu kapelan mógłby spojrzeć na swe doświadczenia bardziej obiektywnie. Próbować poszerzyć perspektywę i podzielić się swymi przemyśleniami w sposób bardziej pogłębiony.

Może tu przyjść z pomocą życie Antonietty Meo, nazywanej przez rodzinę zdrobniale i krócej Nennoliną. Dziewczynka zmarła na chorobę nowotworową, nie doczekawszy swych siódmych urodzin. W cierpieniu dziecko przeżywało głęboką relację z Bogiem, o czym świadczą, między innymi, jej listy pisane do: Boga Ojca, Pana Jezusa i Matki Najświętszej. To sprawiło, że papież Benedykt XVI podpisał dekret o heroicznosci cnót zmarłej w 1937 roku Antonietty i wyraził nadzieję, że wkrótce zostanie ona oficjalnie uznana przez Kościół za świętą. Dodatkowo warto zauważyć fakt, iż postać „Małej Świętej” możemy poznać poprzez świadectwo jej matki Marii Meo, zapisane w książce pt. *Nennolina sześćoletnia mistyczka. Świadectwo matki*. Autorka jest matką czworga dzieci, z których troje na skutek chorób odeszło we wczesnym dzieciństwie. Daje ona niezwykle, autentyczne świadectwo, zapis faktów dotyczących początku małżeństwa, przychodzenia na świat kolejnych dzieci, towarzyszenia Antonietcie i innym dzieciom w zmaganiu się z cierpieniem².

MARIA MEO, *Nennolina sześćoletnia mistyczka. Świadectwo matki*, Kraków 2008. Dalej Nn

Korzystając z tej książki, autentycznej opowieści o życiu, kapelan może postawić jeszcze kilka innych pytań, które pomagają uporządkować jego doświadczenia, a także śmieiej wrócić do pewnych wspomnień i głębiej je zrozumieć.

1. Z czym mamy do czynienia?

Każdy, kto chce służyć rodzinom dziecka terminalnie chorego (zwłaszcza kapelan), na samym początku musi w jakiś sposób zostać przejęty grozą i postawić pytanie: dlaczego? To pytanie, choć wykrzyczane przez wielu w rozmaity sposób, zawiera zawsze w sobie jakiś rodzaj wewnętrznego buntu. Książka we „Wstępie” formułuje je w następujący sposób:

Cierpienie niewinnych, zwłaszcza cierpienie dzieci, jest jednym z głównych zarzutów, jakie często wysuwa się przeciwko prawdzie o miłosierdziu Boga. Nasz bunt wynika niekiedy z doświadczenia bezradności wobec bólu ukochanej osoby, a czasem mniej lub bardziej uzasadnionego poczucia winy.

Jak pogodzić się z prawdą o cierpieniu dziecka? Jak zrozumieć to, że kilkuletnia dziewczynka – doświadczając olbrzymiego bólu związanego z chorobą nowotworową – przyjmuje cierpienie i chce je ofiarować Bogu?³

Wydaje się, że właśnie w ten sposób *Świadectwo matki* podsuwa wszystkim sposób stawiania takich pytań. Nie ma tu, co prawda, żadnej jasnej odpowiedzi. Jednak otwiera się przed nami pewna przestrzeń poszukiwań zrozumienia i przewyciężenia buntu. Pragnąc służyć nie można przecież pozostać osobą sparaliżowaną buntem. Nie wolno jedynie stawiać zarzutów. Trzeba za to mieć swoją własną perspektywę odnalezienia nadziei. Może się ona okazać tym bardziej realna, im bardziej zrozumimy, że obok swoistej „niesprawiedliwości”, mamy z drugiej strony do czynienia ze „świętością” tych, którym służymy.

³ Nn, s. 5.

Widać to wyraźniej, gdy poznawszy początek książki, przeczytamy z kolei samo jej zakończenie:

Nie mogąc znaleźć pocieszenia, zwróciłam się do ks. Dottarellego i spytałam go:

– Jak ksiądz myśli, Antonietta będzie w raju?

– Ale, co też pani mówi! – odpowiedział. Błuzni pani! Proszę więcej nie mówić takich rzeczy! Jeżeli ona nie pójdzie do raju, to gdzie my pójdziemy? Oczywiście, że tak! – I dodał – Nie mogłem nawet odprawić dla niej Requiem.

W sobotę rano, kiedy przyszedł odwiedzić ją w kostnicy, uklęknął na ziemi i długo się modlił. Potem powiedział:

– Tego ranka, kiedy zadzwoniono do mnie i powiedziano mi, że umarła, ubierałem się, żeby odprawić Mszę Świętą. Odprawiłem ją w intencji jej szybkiego wyniesienia do chwały wieczystej.

(...)

Kiedy ks. Dottarelli zapewnił mnie, że Antonietta była w raju, zniknął cały smutek... Odczułam wielką radość i pokój duszy, który trwał przez następne miesiące, a dokładnie półtora roku, aż do dnia, kiedy pod koniec 1938 roku znowu ogarnął moją duszę olbrzymi ból⁴.

Przytaczanie przykładów na to, że ludzie wobec cierpienia niewinnych dzieci, stawiają pytanie: „gdzie jest miłosierdzie Boże?”, wydaje mi się zupełnie zbyteczne. Natomiast chcę podzielić się wspomnieniem pewnej rozmowy z mamą chorej na zespół Edwarda dziesięcioletniej Kasi. Rodzina Kasi, oprócz mamy i taty, to jeszcze siostra i dwóch braci (rodzeństwo jest starsze od Kasi). Wszyscy, każdy na swój sposób, są bardzo zaangażowani w opiekę nad chorą.

W pewnym momencie, jakiś czas po tym jak u Kasi w domu była odprawiona Msza św., mama, w obecności całej rodziny, powiedziała: „proszę księdza, my wszyscy wiemy, jak bardzo jesteśmy uprzywilejowani tym, że Kasia jest z nami”

⁴ Nn, s. 223n.

Pamiętam, że był to moment uspokojenia w całej rodzinie. Minał czas bezpośredniego zagrożenia życia Kasi. Pomyślałem sobie wtedy, że zapewne nieczęsto człowiek może być świadkiem wypowiedzenia takich słów, ale jakże ważne dla nas wszystkich jest to, że się je w ogóle wypowiada i słyszy.

2. Dlaczego wiara?

W zasadzie trudno sobie wyobrazić, by można było dostrzec wspomnianą perspektywę świętości w chorobie i śmierci niewinnego dziecka, jeśli człowiek nie kierowałby się w życiu pewną filozofią, systemem wartości czy religią. One determinują sposób rozumienia, generalną postawę wobec problemu, a także podejście do konkretnych faktów, potrzeb i relacji. One stanowią też niezbędny punkt odniesienia wówczas, gdy człowiek zagubi się pośród trudnych doświadczeń oraz emocji.

Świadectwo matki, od pierwszych do ostatnich zdań, ukazuje jak bardzo wiara katolicka i wartości ewangeliczne wpływały na sposób podejścia do życia Marii Meo. Z całą pewnością zapiski były redagowane już po śmierci jej dzieci. Matka miała już za sobą doświadczenie sześciu lat obcowania z własną córką, prawdziwą świętą. To istotnie musiało wpłynąć na pogłębienie jej własnej więzi z Jezusem. Jednak ta relacja już przedtem musiała być bardzo osobista, skoro z perspektywy wiary pisze już o pierwszym spotkaniu swego przyszłego męża:

22 marca 1914 roku, o zachodzie słońca, spotkałam w Rzymie, przy Via Nazionale, tego, który stał się serdecznym i drogim towarzyszem mojego życia. Wszechmogący, który kieruje i rozporządza wszystkim wedle Swojej nieskończonej i pełnej miłości wszechwiedzy, połączył tego dnia dwa serca, a potem zjednoczył dwie dusze, które z powodu odległości, jaka je dzieliła (...) a także z powodu naszych różnych przyzwyczajzeń, nie było tak łatwo złączyć⁵.

⁵ Nn, s. 11.

Jeśli istnieje wiara, która pozwala w taki sposób patrzeć na spotkanie z ukochaną osobą, to później ta sama wiara staje się wsparciem, gdy w wieku ośmiu miesięcy umierało jej pierwsze dziecko – Giovanni.

Pamiętam, że kiedy moje dziecko umierało, uklękałam w pokoju obok, przed obrazem Matki Bożej Pompejańskiej. Wydawało mi się, że nagle przygniotło mnie jakieś jarzmo, którego nie byłam w stanie udźwignąć, coś, co ciążyło tak bardzo, że wywoływało ból na karku. Ostatkiem sił, przez łzy zaintonowałam pieśń *Ave Maria...* (...) To mi dodało sił.

Przedtem zaś jeszcze, można by powiedzieć, w zwykłym matczynym zatroskaniu, wiara kazała jej wypowiedzieć taką oto modlitwę z myślą o prawdziwym dobru dziecka:

Moje dziecko rosło zdrowo, a ja bardzo je kochałam. Często zdarzało mi się patrzeć na niego, jak spał spokojnie w swojej czerwonej kołysce. Zastanawiałam się wtedy: a jeżeli to dziecko, tak piękne, stanie się kiedyś złym człowiekiem i dusza jego pójdzie na zatracenie? Panie zmiłuj się! Nie dopuść do tego i nie oglądaj się na mój ból. W takim przypadku lepiej by było gdyby umarł i gdybyś Ty zabrał go do raju! Moje serce było ściśnięte niczym w okowach, ale moja modlitwa wzniosła się wysoko do nieba...

Pewnie nie często wypowiada się słowa podobne do wyżej przytoczonych. Z całą pewnością jeszcze rzadziej się je słyszy. Wydaje mi się jednak, iż pokazują one jak ważnym drogowskazem i oparciem jest wiara przeżywana na co dzień oraz to, że staje się ona jeszcze bardziej cenna w kluczowych momentach życia.

Zdarzało mi się spotykać w hospicjum ludzi, którzy bardzo różnie wypowiadali się o swojej wierze. Byli tacy, którzy twierdzili, że się chwieją, że ją tracą. Bywało też, że ci sami mówili, że ją odzyskują. Zdarzali się i tacy, którzy byli pełni obaw, że nie potrafią się modlić, że okoliczności życiowe mogą wyprowadzić ich daleko od Kościoła i sakramentów. W zasadzie,

w prawie każdym przypadku, miałem nieodparte wrażenie, że ich wiara jest głębsza niż oni sami ją oceniają. Nauczyłem się w ten sposób szanować każdy jej okrucuch i każdy jej przejaw.

Chyba najbardziej mnie tego nauczył czteroletni, chory na nowotwór pnia mózgu Hubert. Dotarłem do niego w zasadzie w ostatnich godzinach jego życia. Gorączka wzrastała. Zabiegany przy różnych zabiegach rodzicom zaczynało już brakować sił fizycznych i duchowych. Była niedziela, dzień przed Wigilią Bożego Narodzenia. Widząc, że żadne słowa pomóc tu już nie mogą, zaproponowałem, że pojadę do domu, przywiozę potrzebne parlamenty i odprawię Mszę świętą, byśmy mogli umocnić łaską wszystko to, co słabe i kruche. Kiedy przyjechałem, lekarz właśnie stwierdził zgon. Mimo to odprawiłem Mszę św. obok łóżeczka, mając świadomość, że ołtarz (mały stoliczek) jednym swoim końcem sięga aż do nieba. Ufałem, że Hubert zatroszczy się o rozdmuchanie iskierki wiary swych rodziców w tak szczególnym momencie.

Innej nauki udzielił mi szesnastoletni, również chory na nowotwór Mateusz. To wspomnienie wiąże się z moim osobistym wyrzutem sumienia. Nie pojechałem bowiem do Mateusza, gdyż twierdził, że ma bliski kontakt z innym księdzem. Gdy jednak w ostatnich dniach jego życia, mimo wszystko zostałem wezwany, chłopiec mnie nie zaakceptował. Rodzice powiedzieli mi tylko, że poprosił proboszcza podczas wizyty kolędowej (napisał to na telefonie komórkowym, gdyż nie mógł już mówić) o sakrament namaszczenia. Doznałem swoistej ulgi i pomyślałem sobie, jak wiele mogłoby kosztować jedno przeoczenie. Na szczęście iskierka wiary Mateusza była mocniejsza od wiary kapelana.

3. Czy prawda wyzwala?

W życiu rodzin dzieci terminalnie chorych przychodzi wielokrotnie zmierzyć się z prawdą. Ta prawda zaś często jest bardzo bolesna. Przynosi zagrożenie, lęk i przerażenie. Istnieją też dwie płaszczyzny jej przekazywania: przez lekarzy i personel rodzicom oraz to, co rodzice muszą przekazać własnym, chorym dzieciom.

Wydaje się, że w zasadzie nie powinno się stawiać pytania: „Czy mówić prawdę?” Natomiast zagadnieniem do rozstrzygnięcia pozostaje

czasami, ile w danym momencie powiedzieć, a zawsze – jak przekazać to, co najtrudniejsze.

Maria Meo, w swoim pamiętniku, nie wspomina nic o tym, by była oszukiwana, czy też by coś przed nią zatajano. Koncentruje się natomiast na przekazaniu przede wszystkim intensywności swoich przeżyć i lęków związanych z przekazywaniem prawdy o chorobie dziecka:

Wróciłam do domu w południe i zastałam mojego męża bladego i przygnębionego. Przestraszyłam się, ale zapewnił mnie, że dobrze się czuje i że chodzi o Antonietę; powiedział, że sprawa jest poważna i że trzeba ją jak najszybciej operować. Odpowiedziałam z lękiem: „Ale nie będzie kaleką?” „Tak” – odpowiedział – „będzie!” Uciekłam do pokoju, odczuwając nieopisany ból; stanęłam przed obrazem Świętego Serca, płakałam i błagałam! Powtarzałam ciągle te same słowa: „Panie, zmiłuj się. Spraw, aby nie była kaleką!”⁶.

Maria Meo dzieli się też tym, że czasami prawda była jej przekazywana w zbyt obcesowy sposób:

Próbowałam się opanować i obracając się w drugą stronę, zapytałam swobodnie: „Ale o jaką operację chodzi?” „Ucięcie nogi” – odpowiedziała siostra. Poczułam, że serce zaczęło bić mi mocniej, ale zebrałam w sobie siły i odpowiedziałam: „Miejmy nadzieję, że siostra się myli” Pielęgniarka na to: „W ciągu 26 lat pracy na radiologii ani razu się nie pomyliłam!” Siostra z radiologii nie wiedziała, że to ja jestem matką dziecka, a moja swobodna postawa, jaką przyjął tylko po to, aby dowiedzieć się prawdy, zmylił ją. Ale moje siły się wyczerpały. Wybiegłam z sali i wybuchnęłam wielkim płaczem. Coś wewnątrz zadało mi głęboką ranę...⁷

⁶ Nn, s. 83.

⁷ Nn, s. 86.

Jednak w najbardziej przejmujący sposób opisuje swoje własne i męża trudności z przekazaniem tej wiadomości dziecku:

Sama zaczęłam sobie zdawać sprawę, jak wielką ofiarą będzie dla niej ten zabieg. Zaczęłam mówić jej o Jezusie, o Jego miłości, o tym, co Zbawiciel wycierpiał dla nas. Następnie, drżąc, z bijącym sercem, spytałam ją:

– A jeśli Jezus zażądałby od ciebie wszystkich twoich zabawek, dałabyś je Mu?

– Tak, mamo!

– A jeżeli Jezus poprosiłby cię o jedną z twoich rączek, oddałabyś Mu ją?

Mała popatrzyła na prawą rękę i odpowiedziała:

– Tak mamo, jeśli Jezus chce, oddam Mu też moją rączkę!

Następnie, przyjmując bardzo poważny ton, spytała:

– Dlaczego mi to wszystko mówisz?

Zerwałam się z miejsca i ze ściśniętym gardłem wyszłam z sali – rozplakałam się. Wydaje mi się, że Antonietta zauważyła moje wzruszenie, ale kiedy wróciłam, nic już więcej nie powiedziała⁸.

(przed amputacją nóżki) Mój mąż pojechał do szpitala o ustalonej godzinie. Rano odmówił z Nennoliną wszystkie modlitwy, które mieliśmy w zwyczaju recytować na początek dnia. Malutka siedziała na swoim łóżeczku, radosna jak nigdy, bawiła się piłką i rzucała ją biednemu tacie, który ukrywając to, że jest śmiertelnie przerażony, bawił się razem z nią. Gdyby tylko mógł, wziąłby na siebie wszystko to, co miało ją spotkać. (ale nic dziecku na temat operacji nie powiedział)⁹

Często ludzie pytają mnie; czy rozmawiam z dziećmi o śmierci? Jak mówię im o umieraniu? W zasadzie trudno wprost odpowiedzieć, na to pytanie. Przez dość długi czas dziwiło mnie wręcz to, że dzieci nie pytają

⁸ Nn, s. 92.

⁹ Nn, s. 94.

wprost. Owszem, wielokrotnie byliśmy bardzo blisko i oboje wiedzieliśmy, o czym rozmawiamy. Jednak zawsze pozostawialiśmy pewien dystans, coś niedopowiedzianego, jakby na później. Bardziej jednak zrozumiałem dlaczego tak jest dopiero, gdy lekcji udzielił mi chory na nowotwór mózgu szesnastoletni Patryk.

Gdy rozmawialiśmy długo na temat różnych jego doświadczeń i przeżyć, a także o tym, co z nich wyniósł i jak próbuje je porządkować, w pewnej chwili poczułem, że wisi w powietrzu pytanie: „Co dalej? Po co mi to wszystko, skoro i tak odchodzę?” Wtedy on uprzedził mnie, i powiedział: „Ksiądz wie, że powinniśmy rozmawiać o życiu, do końca o życiu, i o życiu do końca.” Nie pamiętam, czy takich dokładnie słów użył, ale tak je wtedy rozumiałem.

Innej wskazówki na temat mówienia prawdy udzielił mi Grzesio – lat 33. Jest on dojrzałym mężczyzną, który, przy swojej chorobie mięśni, od lat może oddychać jedynie dzięki urządzeniu skonstruowanemu przez jego tatę¹⁰. Udzielił mi on niejednej lekcji. Zawsze miałem wrażenie, że, gdy dotykaliśmy spraw naprawdę głębokich, wyprzedzał mnie przynajmniej o krok. Nigdy przed nim nie ukrywałem, że mi imponuje i że chętnie go słucham. Jestem dumny z tego, że Grześ rozmawia właśnie ze mną bardzo otwarcie. Gdy pojechałem do niego po raz ostatni jako kapelan hospicjum (tym razem to ja w jakimś sensie odchodziłem), powiedziałem: „Mam nadzieję, że, mimo wszystko, zostaniemy kumplami” Grześ na to bardzo poważnie odpowiedział: „Mam nadzieję, że już nimi jesteśmy”

Uświadomiło mi to wówczas, że dzielenie się prawdą z innymi zależy nie tyle od umiejętności, co raczej od wzajemnej relacji.

4. Co może pomóc?

Kiedy zespół hospicyjny po raz pierwszy udaje się do domu chorego dziecka, zawsze sporządza się listę niezbędnych leków i potrzebnego medycznego sprzętu. Udziela się koniecznych wskazówek. Przekazuje się informacje, jak postępować i gdzie szukać pomocy w nagłych sytuacjach. To

¹⁰ Na stronie <http://www.hospicjum.waw.pl/code/glowna.php?ID1=9&ID2=4&ID3=0&idf=23> można obejrzeć wywiad z Grzesiem zarejestrowany przez TV Polsat 28.07.2008.

zawsze, co podkreślają rodzice, stanowi nieocenione wsparcie. Jednak czy może to wnieść cokolwiek wobec jednego niezwykle istotnego faktu – wyzwania, wobec którego stajemy wszyscy (najbardziej oczywiście rodzice); mianowicie tego, że chore dzieci nas duchowo przerastają. Właściwie wobec każdego z nich, bez względu na to, jaki jest jego stan fizyczny i psychiczny, można śmiało zastosować określenie odnoszące się do św. Stanisława Kostki, że *żyjąc krótko, przeżył czasów wiele, wczesnie uzyskawszy doskonałość*. Dlatego wszystkim, którzy są blisko, trzeba podążać tym samym tropem. Trzeba wzrastać duchowo, by dotrzymać dzieciom kroku.

Co może pomóc na tej płaszczyźnie? *Świadectwo matki* poddaje tu pewne sugestie. Przede wszystkim, w czasie, gdy Antonietta jeszcze nie była chora, mama wstąpiła do szkoły formatorów Akcji Katolickiej. Potem, gdy, z powodu czuwania nad córką, nie mogła realizować swej misji formatora, tak napisała w swoim dzienniku:

Pamiętam, że pewnego dnia powiedziałam przygnębiona: „Panie, dlaczego chciałeś, bym uczęszczała do szkoły formatorów, skoro nigdy nie mogłam wypełnić swojej misji katechety?” W sercu słyszałam bardzo wyraźną odpowiedź: „Aby przygotować cię na tę godzinę” Być może było to tylko złudzenie, ale doświadczenie wywarło na mnie duże wrażenie i nigdy tego nie zapomnę¹¹.

Jasno można więc odczytać, że stała intelektualna formacja własnej wiary może okazać się pomocna przy opiece nad „małym świętym” Jednak powinno iść za nią z całą pewnością jej praktykowanie w życiu, w codzienności. Maria Meo pisze wiele o tym jak ważne dla niej było życie sakramentalne. W chwili zaś, gdy do choroby córki, dołączyła jej własna oraz innych domowników niemoc fizyczna, zdecydowała się odbyć spowiedź generalną.

Pewnego wieczoru poprosiłam ks. Dottarellego, by przyszedł i wyspowiadał mnie. Odbyłam spowiedź generalną. W czasie rozmowy

¹¹ Nn, s. 89.

z kapłanem zdałam sobie sprawę, że mam bardzo dużo grzechów – był to moment bolesny i przygnębiający; ale wówczas poczułam też w sobie coś, co mnie umacniało: widziałam w myślach drogę, która prowadzi do szpitala; rzecz dziwna, była pełna światła. Poczłam, że Bóg udzieli mi swego miłosierdzia, za ofiarę, jaką ja i mój mąż składaliśmy w czasie wieczorów pełnych cierpienia¹².

Maria, widząc dorastanie do miary świętości Antonietty, wiedziała, że to dorastanie powinno być wspólne, dotyczyć całej rodziny. Wyrazem tej świadomości jest jej troska o życie duchowe swojego męża:

Kiedys opowiadano mi o pewnym ojcu – Luigim Passioniście, że jest dobrym kierownikiem duchowym. Któregoś ranka zdobyłam się na odwagę, poszłam do niego do spowiedzi i poprosiłam o kierownictwo duchowe. Nie zgodził się. Powiedział mi jednak, abym przyszła kiedyś do rozmównicy – wydaje mi się, że zainteresował go przypadek mojej córki. Dużo się wtedy modliłam i chciałam pokazać mu niektóre liściki Antonietty oraz opowiedzieć o tym, jak bardzo malutka pragnie przyjąć Jezusa. Najbardziej jednak zależało mi na czymś innym... Głęboko w sercu nosiłam inną intencję: chciałam znaleźć kierownika duchowego dla mojego męża¹³.

W innym miejscu, wspomina też, iż istotną rolę w tym procesie dorastania stanowi więź duchowa z innymi osobami, przeżywającymi również tragedię choroby dziecka.

Kiedy podnosiłam się z kolan, podeszła do mnie jakaś starsza pani. Dopiero później dowiedziałam się, że przyjechała z pobliskiej wioski, aby odwiedzić swoją córkę przywiezioną kilka dni wcześniej do szpitala S. Giovanni. Powiedziała mi: „Proszę pani, proszę pomodlić się za moją córkę, która ma...” (nie pamiętam,

¹² Nn, s. 163.

¹³ Nn, s. 131.

o jaką chorobę chodziło, ale nie była to jakaś poważna dolegliwość). „Dobrze – odpowiedziałam – pomodłę się, ale pani niech się pomodli za moją córkę, której właśnie amputują nogę” Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem, potem wybuchnęła płaczem i zwróciła się w stronę tabernakulum. Zrozumiała, że jej cierpienie nie jest tak ciężkie, jak jej się wydawało, a jej szczerą modlitwa przyniosła mi pocieszenie¹⁴.

Od samego początku pracy w hospicjum miałem tę świadomość, że jeśli mam pomóc, to ta pomoc nie przyjdzie ode mnie. Dlatego sam zawsze wozilem ze sobą Ewangelię i zostawiałem księgę Nowego Testamentu w każdym domu. Sporządziłem też tabelkę, która mogła ułatwić rodzinom przeczytanie całej Ewangelii w ciągu jednego roku. Kiedy dowiedziałem się, że niektórzy z tego korzystali, otrzymałem potwierdzenie, iż było to rzeczywiście potrzebne. Stało się to jeszcze bardziej czytelne, gdy ja sam otrzymałem, jako wsparcie, kilka tekstów biblijnych od Bartusia, który zmarł na rdzeniowy zanik mięśni, w wieku pięciu miesięcy. Stało się to wtedy, gdy były one najbardziej potrzebne.

Jego mama w rozmowie wypowiadała bardzo głębokie słowa, o tym jak cierpi z powodu tego, że przez chorobę synka musi się dowiadywać, czym jest genetyka, a także, ponieważ nie może oddać części swego życia, by przywrócić zdrowie dziecku. Mówiła też swoim własnym poczuciu winy.

Nie mogłem w żaden sposób znaleźć odpowiedzi na tak nieuzasadnione poczucie winy w całej głębi cierpienia.

Trwałem w tym stanie, sam w jakiś sposób czując się winny, aż do dnia pogrzebu. Odbył się on 8 grudnia, w Uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP. Trzeba było zatem użyć tekstów przewidzianych w liturgii na ten właśnie dzień. I czytałem:

- Najpierw z „Księgi Rodzaju”, o tym jak grzech wdarł się na świat przez pierwsze nieposłuszeństwo, jak człowiek głupio i płytko się z niego tłumaczył, ale nic już nie mógł uczynić, aby powstrzymać skutki swojej zdrady, jak one rozprzestrzeniały się z pokolenia na

¹⁴ Nn, s. 9n.

pokolenie, przybierając od razu zastraszające rozmiary, niosąc nienawiść i śmierć¹⁵;

- potem z „Listu do Efezjan” o tym, że stało się tak, mimo, iż „Bóg nappełnił nas wszelkim błogosławieństwem duchowym” i „przeznaczył nas dla siebie”¹⁶;
- wreszcie z „Ewangelii”, że człowiek raz dokonując wyboru, jest potem bezradny wobec sposobu rozprzestrzeniania się skutków grzechu do tego stopnia, że trzeba przyjścia Zbawiciela, Jego męki, śmierci i Zmartwychwstania¹⁷

Powiedziałem na Mszy św. pogrzebowej, że wszyscy jesteśmy za tę śmierć odpowiedzialni, choć tylko nieliczni to czują. Tak straszny właśnie jest grzech, że choć nam się wydaje mały i nieznaczący, to jego skutki wiadać między innymi w postaci trumienki Bartusia.

Mogłem to powiedzieć, bo Bartuś mi to podpowiedział.

Wielokrotnie także było mi dane widzieć, jak ważne jest, by rodziny mogły dorastać do pewnych wyzwań razem. Widać to najbardziej, gdy trzeba podejmować trudne decyzje (np. o zabiegu, który niesie ze sobą zagrożenie życia, a może poprawić znacząco komfort egzystencji dziecka). Potrzebne jest wtedy wspólne podjęcie odpowiedzialności. Gdy jedna ze stron musi dokonać tego samodzielnie, powoduje to dodatkowe cierpienia (Może mi się tylko wydaje, ale mężczyźnie z natury łatwiej jest się schować za parawanem niezrozumienia, czy pozornej obojętności. Kobieta zaś bardziej emocjonalnie potrzebuje przejawów zrozumienia i zaangażowania [także w sprawy duchowe]. Dlatego, podobnie jak Maria Meo, ona częściej podejmuje inicjatywę, prosi, nalega, „nawraca”).

Grupa wsparcia w żałobie, czy też Msze św. dla rodzin dzieci żyjących, uświadamiały mi wielokrotnie jak wiele może wniesić spotkanie osoby z pozoru obcej, ale przeżywającej podobne problemy. Choć wiele dzieje się tam niejako pomiędzy wierszami, bez używania słów, to czuje się całą intensywność: otwartości, zrozumienia, a czasami też modlitwy.

¹⁵ Por. Rdz 3, 9–15.

¹⁶ Por. Ef 1, 3–12

¹⁷ Por. Łk 1, 26–38.

5. Dlaczego potrzebne są „normalne” chwile?

Wiele rodzin hospicyjnych miewa czasami wątpliwości, czy tak zwane „normalne chwile” w obliczu terminalnej choroby dziecka są w ogóle możliwe. Niektórzy twierdzą, że wręcz nie wypada sobie na nie pozwalać.

Warto zdać sobie sprawę, że cała pomoc socjalna niesiona przez hospicjum, nie ma na celu stwarzania pozorów czegokolwiek. „Normalne chwile”, czy to pod względem komfortu bytowego, czy też odprężenia psychicznego są po prostu niezbędne.

Maria Meo pisze bardzo wiele o takich właśnie chwilach. Opisuje bez troskie dzieciństwo Antonietty przed chorobą. Wiele miejsca poświęca, jej psotom, a także stosowanym metodom wychowawczym, „normalnemu” traktowaniu jej zarówno w domu, jak i w przedszkolu czy szkole. Barwne są też przekazy z wypraw wakacyjnych, odbytych zarówno przed chorobą, jak i podczas jej trwania.

Te można by rzec zwykle chwile stanowią kontrast dla tych, które, nie tylko z powodu faktów, ale także złych przeczuć przepełnione są lękiem.

Własnoręcznie przygotowałam jej strój i wszystko, co potrzebne do Pierwszej Komunii Świętej.

W taki sposób Maria Meo kończy opis jednej z „normalnych” chwil podczas przygotowania Antonietty do Pierwszej Komunii. Następne zaś zdanie niesie już ze sobą ładunek negatywnych emocji.

Przypomniałam sobie, że kiedy obszywałam brzegi sukienki, przyszła mi do głowy myśl, której nigdy nie zapomniałam: „Trzeba będzie odpruć tę wstążkę, kiedy córeczka umrze!” Nie muszę mówić, że odrzuciłam ją jak pokusę, ale później, kiedy naprawdę musiałam ją odpruć, aby ubrać w ten strój jej ciało, ta myśl znów gwałtownie wróciła¹⁸.

¹⁸ Nn, s. 147.

Dlaczego więc rodzinie potrzebne są te lepsze chwile? Prócz tych oczywistych, *Świadectwo matki* podpowiada jeszcze jeden powód: żeby rodzina mogła usłyszeć najskrytsze myśli i pragnienia chorego dziecka.

Nennolina, jeśli dobrze pamiętam, miała niewiele ponad trzy latka, gdy wydarzyło się to, o czym teraz opowiem. Przytoczę to w takiej formie, jak zapisałam w zeszycie na notatki, z datą 8 grudnia 1936r. (...) pewnego wieczoru do zwykłych modlitw odmawianych codziennie malutka dołączyła następującą prośbę: *Jezu uczyn mi łaskę, abym raczej umarła, niż popełniła grzech ciężki...* Poczułam jakby ucisk w sercu, jakiś przeczucie... Nie ze względu na znaczenie tych słów, bo pochwalałam je całą duszą, ale po prostu... Nie wiem, przeczucie, że Pan mógłby wysłuchać, a to oznaczałoby wielką ofiarę. Nie wiem, czy Pan wysłucha tej modlitwy. Moja mała za kilka dni skończy sześć lat i nie wiem, co przyniesie jej życie. Lecz Panie Boże... ze względu na to, co wycierpiałam, i na to co cierpię i co muszę wycierpieć, wysłuchaj tej modlitwy!¹⁹

Chore dzieci z pewnością potrafią przekazać bardzo różne „słowa” swoim rodzicom, zazwyczaj te najistotniejsze. Mówią je także kapelani. Z tym, że kapelan słyszy je w trochę innych okolicznościach. Ja najczęściej miałem swoje „ciche chwile”, gdy przy łóżeczku zmarłego dziecka odmawiałem wraz z rodzicami różaniec.

6. Czego pragnie chore dziecko?

Należy zdawać sobie sprawę, że tez postawionych powyżej nie do się w żaden sposób udowodnić. Powstały one w wyniku lektury, własnych przemyśleń oraz doświadczeń. Żeby je przyjąć za punkt odniesienia (przynajmniej niektóre z nich) trzeba być wierzącym chrześcijaninem, katolikiem. Jeśli jednak ktoś zgadza się wewnętrznie z logiką powyższych faktów, przemyśleń i wniosków, to może stwierdzić, że chore terminalnie

¹⁹ Nn, s. 50.

dzieci, podobnie jak Nennolina, najbardziej pragną świętości. I nie chodzi tu tylko o to, by uważać je za święte, gdy przechodzą do lepszego świata. One pragną święcie, a nie tylko godnie, żyć w chorobie i pragną być tą świętością otaczane.

One, podobnie jak Antonietta, widzą Jezusa, rozmawiają z Nim, mówią do Niego i słuchają Go. *Świadectwo matki* daje na to wiele dowodów:

Mała odpowiedziała od razu: „Jezus robi znak, że nie!” Podczas całej uroczystej Mszy mała miała oczy utkwione w ołtarz, potem wpatrywała się w monstrancję. Nie chciałam jeszcze wierzyć w to, co mówiła, i kiedy proboszcz wziął w ręce monstrancję i zaintonował „Pange lingua gloriosi”, spytałam Antonietkę raz jeszcze, czy widzi Jezusa. Nie odwracając wzroku powiedziała, że tak.

– Ale widzisz hostię, czy widzisz samego Jezusa? – spytałam.

– Widzę Jezusa!

– Spytaj Go o rekolekcje...

– Robi znak na „nie”! odpowiedziała²⁰.

Czy też:

– Kiedy chcę zobaczyć Maryję, widzę Ją!

Odpowiedziałam:

Widzisz ten obraz? – I pokazałam jej obraz w otoczeniu aniołów.

Popatrzysz na niego odpowiedziała:

– Nie, widzę Ją dobrze. Widzę dokładnie Maryję!

– A jak to robisz? – spytałam.

– Zamykam oczy – odparła²¹.

Jeśli więc dzieci w swojej świętości i swoim pragnieniu świętości stoją przed Bogiem Żywym, to potrafią one też przekazać, czym ta świętość rzeczywiście jest i jak ją realizować.

Zdaję sobie sprawę, że jest to bardzo subiektywne doznanie, ale odkąd po raz pierwszy przeczytałam „Świadectwo matki”, wielokrotnie miałem

²⁰ Nn, s. 165.

²¹ Nn, s. 133.

wrażenie, że Nennolina ubiera w słowa to, czego pragną i co przekazują hospicyjne dzieci, zwłaszcza te, które nie mogą posługiwać się już mową.

Świętość zaś w pragnieniach dzieci wydaje się niezwykle prosta i zarazem niezwykle trudna do zrealizowania.

Nennolina ukazuje nam prawdziwą, prostą wiarę. Przy wszystkich komplikacjach, jakie dorośli miewają ze swoją wiarą, warto w tej kwestii zaufać dziecku. Ono pokaże jak wyjść ponad swe obiekcje i wątpliwości. Antonietta uświadomiła to pewnej siostrze zakonnej, która wypowiedziała takie zdanie:

Według mnie, dzieci nie mają trudności z wiarą, trzeba tylko zdobyć ich zaufanie²².

By realizować swą wewnętrzną więź z Jezusem, dziecku potrzebne są najprostsze gesty, modlitwa i sakramenty. Są im one potrzebne także wówczas, gdy same nie są w stanie w pełni w nich uczestniczyć.

Około godziny 23.00 (po amputacji nóżki) Antonietta przestała płakać i nagle zwróciła się do taty takimi słowami (po raz pierwszy powiedziała coś swoim naturalnym głosem):

- Tatusiu, nie pomodliliśmy się tego wieczoru!
- Nie martw się skarbie, bądź spokojna, postaraj się odpocząć.
- Nie, tatusiu, zawsze trzeba odmówić paciorek.
- Tak, spokojnie odmówię modlitwę za ciebie.
- Nie tatusiu, chcę się pomodlić!

Tata zaczął modlitwę; Antonietta modliła się razem z nim, choć kosztowało ją to wiele sił. Potem w pewnym momencie powiedziała:

- Tatusiu, nie mogę już mówić... Ty dokończ modlitwę; ja będę modliła się w myślach.

Tata kontynuował, podczas gdy Antonietta starała się nie płakać i nie miotać się na łóżku²³.

²² Nn, s. 59.

²³ Nn, s. 98.

Kapłan zaczął rozdawać Komunię wiernym. Antonietta utkwiała w nim oczy. Widząc, jak bardzo jest skupiona, powiedziałam jej: „Nie ruszaj się z miejsca, ja idę do Komunii” Nennolina zerwała się na nogi powiedziała: „Mamo, ja też chcę iść do komunii!” Odpowiedziałam jej: „Trzeba najpierw być dopuszczonym! To dlatego przygotowuję cię i uczę katechizmu”. A ona na to: „Ja chcę do Komunii” Tym razem Antonietta nie myślała racjonalnie, a na obietnice, prośby, a nawet groźby odpowiadała: „Ja chcę do Komunii”²⁴.

Żeby dzieci hospicyjne mogły zrealizować swe religijne potrzeby potrzebna jest im pomoc z zewnątrz. Potrzebne jest im zrozumienie i w miarę szybka reakcja. Wydaje się przy tym, że nie życzą sobie biernych świadków swej relacji z Jezusem. Raczej chodzi im o zaangażowanie zarówno rodziny, jak i księdza, zrozumienie, uczestniczenie, czy wręcz naśladowanie. Cieszą się też, jeśli przy tej okazji dochodzi do zawiązania prawdziwych relacji, przyjaźni, wspólnoty. *Świadectwo matki* mówi o tym w następujących słowach:

Około 12 września wróciliśmy do Rzymu i właśnie wtedy przyszedł do nas o. Buonaventura Orlandi (...) Kiedy jednak spytał: „Jak się kocha Boga”, jej odpowiedź była szybka i stanowcza: „Poprzez ofiary!” Ojciec był zdziwiony i tym razem to on nic nie odpowiedział. Po chwili namysłu odrzekł, że mała ma rację. Gdy wychodził, zapytał, czy może przyjść jeszcze innym razem, by odwiedzić Antonietę. Mała zrobiła na nim bardzo duże wrażenie. I rzeczywiście po kilku dniach wrócił. Mała leżała wtedy w łóżku, była chora na zapalenie migdałków. (...) Później zapytał małą, kiedy przystąpi do Pierwszej Komunii Świętej. Antonietta odpowiedziała, że na Wielkanoc. Tak ustaliliśmy wcześniej. Ojciec zasugerował, by datę przesunąć na Boże Narodzenie. Propozycja bardzo nam się spodobała...²⁵

²⁴ Nn, s. 68n.

²⁵ Nn, s. 126n.

Dość szybko polubiła swojego spowiednika, którego z szacunkiem nazywała ojcem duchowym. Co 15 dni zawoziłam ją na wózku do domu księdza do spowiedzi. Robiła dokładny rachunek sumienia... Pamiętam, że kiedy nauczyła się pisać, spisywała swoje grzechy na kawałku papieru, a potem wkładała go do kieszeni płaszczyka. (...) Wszystkim, z którymi rozmawiała, Nenne mówiła, że jej ojciec duchowy jest najlepszy ze wszystkich i... najładniejszy²⁶.

Postawa Nennoliny pokazuje jeszcze tylko jedno wymaganie, które stawiają przed nami terminalnie chore dzieci, a mianowicie potrzeba wybaczenia. Pragną one by opiekunowie wybaczyli przede wszystkim im samym. Ale skoro tak naprawdę nie mają oni im czego wybaczać, to prawdopodobnie trzeba, by wybaczyli sobie nawzajem.

Antonietta była pokorna. Często na kolanach prosiła mnie o wybaczenie i całowała w rękę nawet za najmniejsze przewinienia. Jej skrucha była tak szczerą! W oczkach dziecka można było wyczytać ból, postanowienie poprawy i szczerą radość z otrzymanego wybaczenia. Potrafiła ukorzyć się nawet przed opiekunką i prosić ją o wybaczenie. Czuliła autentyczną potrzebę przebaczenia, wiedziała, że bez tego nie będzie mogła spokojnie dalej się bawić²⁷

Gdyby postawić pytanie, czy rzeczywiście tak prosta i zarazem trudna jest świętość, można by na nie odpowiedzieć, że – według Nennoliny – tak właśnie jest.

7. Czy zdarzają się cuda?

Najbardziej podstawowym pragnieniem rodziców terminalnie chorego dziecka jest jego uzdrowienie. Poruszają oni wszystkie siły fizyczne i duchowe, by na cud uzdrowienia w jakiś sposób „zasłużyć” i tego cudu doczekać.

²⁶ Nn, s. 157n.

²⁷ Nn, s. 52.

Wydaje się, że w osobie Nennoliny otrzymują oni nieocenioną orędowniczkę. Nie tylko dlatego, że już za jej życia, a także po jej śmierci działały się i dzieją za jej pośrednictwem wielkie rzeczy, ale także z tego powodu, że ona najlepiej rozumie duchowe zmagania rodziców chorych dzieci.

Jednak, choć Maria Meo wspomina w swym pamiętniku o „cudach” dokonanych za pośrednictwem jej córki, takich jak nawrócenie lekarza ateisty²⁸, czy też wręcz ustanie lokalnej wojny:

(...) powiedziała: „Ofiarowała swoją nóżkę Jezusowi, ponieważ na świecie jest tylu grzeszników, że ktoś musi to odpokutować”
Mała na to: „Ty tak powiedziałaś” Zasmuciło mnie to i rozzłościło; rozplakałam się. Po chwili zbierając siły, powtórzyłam: „to powiedz, za kogo ją ofiarowałaś?” Antonietta zaczerwieniła się, spuściła główkę i odpowiedziała: „Za naszych żołnierzy” Dopiero później uświadomiłam sobie, że ofiara została złożona 3 maja, a wojna skończyła się 5 maja. Nie sądzę, aby ta ofiara miała jakikolwiek wpływ na historię naszego kraju: zapisuję tę informację, tak jak inne, by o nich nie zapomnieć²⁹

to jednak, gdy wielu sugerowało jej, żeby modliła się o swoje własne uzdrowienie, Antonietta za każdym razem odmawiała.

- Ale dlaczego mówisz, żeby modlić się o moje uzdrowienie? Nie powinnaś tak mówić!
- Ale moja córeczko, chcę, żebyś wyzdrowiała!
- Mamo, pozwól Panu czynić to, co chce³⁰.

Jeśli więc, z jakichś powodów nasze dzieci nie mogą lub wręcz nie chcą być uzdrowione, jedyne, co pozostaje udręczonym rodzicom, to oczekiwać cudu w innej postaci. Prawie zawsze przychodzą.

²⁸ Por. Nn, s.101n.

²⁹ Nn, s. 107.

³⁰ Nn, s.187; por. s. 185.

Spotkałem Martynkę, dziewczynkę szesnastoletnią, cierpiącą na raka kości, w drugim dniu mojej pracy w hospicjum, w październiku 2007. Powiedziano mi, że się buntuje przeciwko Bogu i całemu światu. Zawieziono mnie i pozostawiono sam na sam przez jakieś dwie godziny. Przez większą część tego czasu malowaliśmy z Martynką zwierzęta. Gdy wróciła pielęgniarka, żeby mnie zabrać, dziecko było przekonane, że pragnie przyjąć sakrament bierzmowania, wyspowiadać się, przyjmując komunię świętą. Zostaliśmy przyjaciółmi.

Wszystko dało się zorganizować w przeciągu zaledwie kilku dni, dzięki wielkiemu zrozumieniu i dyspozycyjności, jakie okazał nam ks. bp Henryk Tomasik z Siedlec.

Martynka przyjęła bierzmowanie w swoim domu, w swoim łóżku. Przedtem odprawiłem tam Mszę św. (wraz z ks. proboszczem Heniem Skolimowskim), wyspowiadałem dziewczynkę, udzieliłem jej Komunii św. Przyjechał ks. biskup. Wszystkim nam wydawało się, że Martynka dopełni swej osobowej i religijnej dojrzałości, że to może być ostatni świadomy akt jej życia.

Bierzmowanie odbyło się w czwartek, ale mimo to przed weekendem udało mi się z nią spotkać jeszcze raz. Czuła się już bardzo źle.

W niedzielę, podczas odprawiania Mszy św., nie mogłem przestać o niej myśleć. Wczesnym popołudniem zadzwoniłem do niej z zapytaniem, czy ma tyle siły i czy chce, żebym przyjechał odprawić Mszę św. Bardzo tego chciała.

Droga zajęła mi około półtorej godziny. Przez cały czas myślałem tylko o jednym: o tym, że muszę umierającemu dziecku przeczytać Ewangelię o uzdrowieniu dziesięciu trędowatych³¹. Co mam powiedzieć?

Po przeczytaniu Ewangelii spytałem tylko: „Martynko, czy myślisz, że ten cud z Ewangelii, ten prawdziwy, cud przemiany serca jednego z trędowatych, stał się dzisiaj tutaj w twoim domu?” Patrzyła długo w milczeniu na jedną z obecnych w domu osób, potem odwróciła do mnie oczy i powiedziała: „Tak, chyba tak”

Martynka zmarła cichutko 19 października.

Ten sam fragment Ewangelii odczytałem na jej pogrzebie.

³¹ Łk 17, 12–19.

8. Mamo, nie możesz płakać – lot anioła

Antonietta Meo zmarła o godz. 6.00, w sobotę, 3 lipca 1937 roku. Byli przy niej rodzice, a także personel szpitalny.

Antonietta patrzyła prosto przed siebie. Jej oczy były pogodne, na twarzy nie widać było najmniejszego napięcia. Duszność ustała i oddychała z długimi przerwami. Mój mąż podtrzymywał ją ramieniem. Poczuł, że córka się osuwa. Siostra doradziła mężowi, aby mówił jej: „Jezu, Maryjo, Józefie” Biedny tata pochylił się nad swoją córeczką i, powstrzymując płacz, powtarzał dzielnie: „Jezu, Maryjo, Józefie. Wam oddaję moje serce i duszę. Jezu, Maryjo, Józefie, bądźcie ze mną w chwili, gdy konam. Jezu, Maryjo, Józefie, niech przy Was w pokoju oddam ducha Bogu”. Przy ostatnim wezwaniu, Antonietta wzięła długi oddech. Zmarła.

Obserwowałam wszystko, trzymając jej rączkę w swoich rękach. Nie mogłam pojąć, że wszystko rozegrało się z taką prostotą. Byłam skamieniała...³²

Przedtem wielokrotnie prosiła swoich rodziców, żeby nie płakali.

– Powtarzała mi także, że jeżeli umrze, nie powinnam płakać i że będzie się za mnie modlić

Pewnego popołudnia odpowiedziałam:

– Dlaczego nie mówisz tego wszystkiego także tacie?

– Tak, mamo, dziś wieczór też go pocieszę.

Wieczorem zawołała go do siebie i powiedziała mu:

– Tatusiu, jeżeli będę musiała umrzeć, nie powinieneś płakać!

– Ale co ty opowiadasz? Jak mógłbym nie płakać?

– Bądź silny! W niebie będę się za ciebie modlić – odpowiedziała mu od razu³³.

³² Nn, s. 220.

³³ Nn, s. 187.

Jej matka nazwała ostatni okres jej życia „Lotem Anioła”
Błogosławieni, którzy potrafią w to uwierzyć.

Summary

PASTORAL CARE OF A FAMILY WITH A TERMINALLY ILL CHILD – AREAS OF ENGAGEMENT

This paper undertakes an attempt to present a hospice chaplain's experience. The Author describes his meetings and conversations with ill children and their families in order to consider what can be done to provide support to a family with terminally ill child. The major part of experience gained from the meetings with terminally ill children and their families is connected with asking questions rather than obtaining clear answers. First of all, a chaplain witnesses anxiety, fear, uncertainty of the future and growing awareness of the fact that the best life plans and parents' dreams connected with their child will never come true because of the illness. This awareness, as well as fear, always triggers huge emotions resulting from loss of hope, illusions, doubts, bitterness and resentment towards God and people. Pastoral care also creates an occasion to learn, together with the child's parents, the value of life full of love. In this context every moment, every gesture, every breath – especially if it has to be fought for with the help of machinery and medical means – acquires a special meaning. It has to be understood that such “learning” is a challenge to everyone, since no one is experienced and perfect. Learning to start one's life all over again, to find out and to deepen one's own identity is impossible without reference to God, who is a real person and moreover – in Jesus Christ – the way, the truth and the life. Chaplain's ministry is an unceasing attempt to revoke his own faith and the faith of those to whom he has been sent, to remind how intensively God seeks those who suffer and gives them strength. Quite often their faith in a personal God is proved to be much bigger than that of a chaplain, no matter to what extent they are aware of it and how they practice their religion in their daily life. They are aware much more than anyone

else that it is personal relationship, and not the material things, that is the most important thing in the face of terminal illness of the child. The purpose of this paper is to bring difficult ministry of a hospice chaplain closer by pointing out such values as presence, faith, openness and patience, and above all prayer in common and the sacraments. These are the source of grace and force, the place where a man meets God, meets Jesus Christ.